

Tata

27 kwietnia 2018

Lumpenproletariacka dzielnica, lumpenproletariacka ulica. Stare, przedwojenne kamienice, każda ledwie stoi, wspierana przez podobnej kondycji sąsiadki. Pełna solidarność, wspólnota w ruinie. Co trzecia jest pustostanem, poważnie zagrożona zawaleniem. Mieszkańcy to głównie bezrobotni bez konkretnych zawodów, bez wykształcenia, bez nadziei. Fizyczni od wszystkiego. Ogrzewanie węglowe, woda tylko w korytarzu, na podwórku wspólny, obesrany kibel. Pijackie awantury, nadto widoczna bieda, gołębie.



Puszczone samopas małolaty mają ulicę dla siebie. Bieganina, krzyki, niegroźne bójki, w pustostanach ledwie skryte palenie papierosów, starsi publicznie delektują się tanim winem. Grupy według wieku – pięć do dziewięciu lat to szczyłe, dziesięć do piętnastu kurduple, starsi to już panowie. Tak w każdym razie każą na siebie mówić. Młodszym. O rozrywce typu książka, kino, nie mówiąc o teatrze, mało kto słyszał, a już na pewno nigdy nie doświadczył. Te śmierdzące slamsy, rynsztok, policyjne pałowania, wóda, to ich cały świat.

Szczyłe mają swoje zabawy, swoje problemy. Jak każda z grup, jednak tutaj dominuje jeszcze przywiązanie do rodziców – wśród

chłopców do ojców. O ile są tacy, bo to przecież różnie bywa.

Jacek, mizerny sześciolatek, który jeszcze nie ma ksywy jak inni, urzęduje wraz z równie małymi kolesiami po zakamarkach pustych ruin. Pętają się wśród starszych, przeganiani z kąta w kąt płacze się pod nogami. Jednak w sumie jakoś tolerowani. Jeśli naturalnie znają swoje miejsce. A znają bezbłędnie.

Istotnym tematem ich rozmów są ojcowie – który jest kim, co może, jaki odważny, silny, jak potrafi przywalić, sami supermani. Rzecz jasna pełna imaginacja, jednak na tyle silna, że warto jej bronić. Na wszelkie sposoby. Stoją teraz w trzech przed pustą rudera i kłóćą się zajadle. Kilka kroków dalej lichy ubrane dziewczynki grają w klasy, a pod osłoną kruszejących murów starsi, krztusząc się, zawzięcie popalają zdobyte gdzieś papierosy.

– Mój tata jest marynarzem – chwali się Jacek. – Pływa na wielkim statku i po całym świecie.

Nigdy nie widział ojca, nie rozmawiał z nim, a w każdym razie nie pamięta, jednak matka trzyma na półce połówką fotografię w ramce, przedstawiającą przystojnego, dumnego mężczyznę w kapitańskim uniformie. Mówi o nim zawsze: „Twój tata”. I dodaje: „Niebawem wróci”.

– Gówno prawda! – zaprzecza Ślina. Dlatego Ślina, że pluje najchętniej i najdalej ze wszystkich szczyli. Czasem, gdy ma dobry dzień, aż na siedem kroków. – Wszyscy wiedzą, że ty nie masz starego. Mówił mi mój tata. A on wie wszystko. Nawet gdzie jest Australia. I jest najwyższy!

– A gdzie ta... Australia? – pyta podstępnie kulawy Kostek.

– Tam, na dole. – Ślina pokazuje ręką na popękaną płytę chodnikową. – Z drugiej strony kuli.

– Jakiej kuli? – dziwi się Kostek.

– Ziemskiej, baranie! – Ślina splota w bok, ale bez

ekstrawagancji. Blisko.

– On ma rację! – próbuje rozstrzygnąć Jacek. – Australia to... anty... pody. Tam też pływa mój tata.

– I nie spadnie na dół? – Kostek demonstracyjnie puka się w czoło. – Kłamiesz. Nie masz starego, a ta Australia, to bujda.

– Zaraz cię walnę! – grozi Jacek. – Mój tata tam pływa i... dzisiaj wraca do domu. Mama dostała telegram.

Zbiera mu się na płacz za taką niegodziwość, ale przecież nie okaże słabości. Jeszcze chwila i rzeczywiście walnie. Nie wymyślił tego telegramu przecież – listonosz istotnie przyniósł matce jakieś ważne pismo, wymagające potwierdzenia odbioru. Jak ich przekonać?

– Dupa, dupa! – krzyczy Kostek, ale nagle ucicha. Ucichają wszyscy wokół, bowiem nagle słychać jakieś dudniące o chodnik kroki. Zdecydowane, energiczne, coraz bliższe.

Zza rogu wychodzi wielki... marynarz. Wielki, to mało powiedziane – ogromny, jakieś trzy metry wzrostu. Marynarz, to także nic. To regularny kapitan. Charakterystyczna, białą granatowa czapka z daszkiem, granatowy mundur z sześcioma złotymi guzikami, naramienniki, lampasy, spodnie w kancik, lśniące buty. W lewej ręce trzyma małą kapitańską torbę, a w prawej złożone niedbale, śnieżnobiałe, jedwabne rękawiczki. Przystojny jak wszyscy diabli, ogorzały od słońca i morskiej kipieli. Barczysty, widać, że wysportowany, energiczny, zwinny, szybki.

Kroczy pewnie, nie rozglądając się specjalnie na boki.

Wszyscy przytomni wywalają gały jak spodki, nieruchomieją w jednej chwili. Nikt nie próbuje uciekać, gdyż aż nadto jest oczywistym, że kapitan mógłby to uznać za swego rodzaju... dezaprobatę dla jego osoby, sprzeciw. A on sprzeciwu nie znosi – to przecież widać. No i któż miałby najmniejszą choćby

szansę umknąć wystarczająco szybko?

Zbliża się do trzech szczyli, patrzy uważnie, uśmiecha do Jacka szerokim, lśniącym uśmiechem.

– Witaj, synu! – nachyla się nad grupką, mówi głośno niskim, męskim barytonem. – Wróciłem na chwilę. Czy wszystko w porządku? – lustruje jasnym wzrokiem kolegów, brudne rudery, okolicę.

– Tak, tato – odpowiada dumny z ojca Jacek. – Wszystko w porządku. To są moi koledzy Kostek i Ślina. Tam dalej koleżanki i... też koledzy. Wszystko w porządku.

– To dobrze – mówi kapitan dudniąco. – Daj rękę. Wybierzemy się do kina. I na lody.

Kapitan wkłada rękawiczki do kieszeni, wyciąga potężną rękę. Jacek ledwie sięga dłoni, więc ojciec jednym pewnym ruchem sadza go sobie na ramionach. Idą w kierunku miasta. Jacek ogląda się za siebie i cały szczęśliwy macha kolegom. Charakterny jest. Nie naskarżył ojcu, nie użalił się ani jednym słowem. Kto wie, co by się mogło zdarzyć? W jednej chwili zyskał niepomrotnie w oczach całej ulicy.

O smutnej treści dostarczonej dziś matce wiadomości dowie się wieczorem. Gdy wróci do domu.

KONIEC

Autorstwo: Golesz

Zdjęcie: [DariuszSankowski](#) (CC0)

Źródło: WolneMedia.net